

## Arytmia

© Janusz Leon Wiśniewski

Cewnik katedy i ma długość około 110 cm i średnice 0,42 milimetra i jest wykonany z poliuretanu. Do końcówki cewnika przymocowana jest elektrodą w postaci 4 milimetrowej igły. Każda elektroda jestznaczona unikalnym numerem. Jego elektroda miała numer 18085402350. Lekarze na ogół nie znają tego numeru, ale księgowi w klinikach muszą go znać, aby zaksięgować ją w rubryce „amortyzacja aparatury”. Elektroda katedy amortyzuje się po trzech zabiegach. W ministerstwie zdrowia ustalono, że można wepchnąć elektrodę do trzech serc i potem można ją „zdejmować ze stanu”. Gdy operacja zakończy się zgonem pacjenta elektrodę zdejmuje się ze stanu przed upływem okresu amortyzacji ustalonym na trzy zabiegi. Zdjęcie przed upływem okresu amortyzacji należy „udokumentować aktem zgonu pacjenta”. Katedę wprowadza się w tętnicę udową w okolicy prawej pachwiny.

On miał wypchniętą tętnicę udową prawej pachwiny. Całowałam to miejsce wiele razy więc wiem. Zawsze, gdy dotykałam go tam wargami lub językiem kładł dłoń na mojej głowie, powtarzał szeptem moje imię i drżał. Czasami delikatnie, a czasami mocno uciskał różne miejsca na mojej głowie. Ale tylko lewą dłońią. Prawą przesuwiał w tym czasie wzdłuż moich włosów. Nigdy go nie zapytałam jaki koncert grał lub słyszał w swojej wyobraźni, gdy to robił. Wiem, że aby mnie nie zranić zaprzeczyłby. Wiem także, że byłoby to kłamstwo. Zawsze przecież przegrywałam z jego muzyką. W łóżku także.

On nawet mnie rozbierał tak, jak gdyby wyciągał swoje skrzypce z futerału. Z namaszczeniem, uroczyście. Dokładnie tak jak to robi skrzypek, który gładzi swój instrument, muska palcami po smagłym drewnie strzepując jakieś zupełnie niewidoczne pyłki, tylko jemu znane. Potem na nie patrzy. To spojrzenie jest chyba najpiękniejsze. On także na mnie nagał tak patrzył. Jak na swoje skrzypce przed wielkim, najważniejszym koncertem. I chociaż wiedziałam, że mnie tym koncertem zachwyci, odurzy i spełni, czułam, że nawet, gdy będzie ejakulował we mnie, to usłyszy przy tym nie mój krzyk i nie mój płacz, ale jakiś cholerny kontrapunkt. Bo dla niego także łóżko było salą koncertową.

Słyszałam jego oddech, szum smyczka równo prowadzonego po strunie. Tak jakby wkraść się do mojej duszy i delikatnie dmuchnął u nasady włosów. Od tej pory wszystko było wspólne: oddechy, czas, powietrze, ciało. I wcale nie chodziło o powolne, altowe, wibrujące dźwięki. Gdzieś spoza szybkich, dokładnych, mocnych dźwięków slychać było tęsknotę i namiętność. Najpierw solista, piano, eksponował temat. Nasze spojrzenia spotykało się gdzieś w środku sali, przekazując sobie tempo, ekspresję, kolor. Rozbrzmiewało tutti orkiestry, las smyczków w idealnie równym tempie zmieniało kierunek, podniecenie wzrastało tym szybciej, im głośniejsze i bardziej żywiołowo łączyły się wszystkie brzmienia. Na koniec, tylko on, skrzypek, i ja, w doskonałym konsonansie, jednakowo zdyszani. Przeżywamy coś tak bardzo potrzebnego, niezapomnianego dla wysuszonego, oczekującego pragnienia siebie. Tyle, że ja u końca drogi stapałam się w jedność tylko z nim, podczas, gdy on z ostatnim finałowym taktem...

Kateda wepchnięta poprzez elastyczną plastikową koszulkę umieszczoną w punkcie nakłucia tętnicy udowej wędruje powoli do serca. Najpierw do prawej komory, potem do prawego przedsionka. Stamtąd musi przebić się do lewego

przedsionka. W lewym przedsionku zbliża się ją do ujścia żyły płucnej i prądem o częstotliwości radiowej rozgrzewa się jej końcówkę do około 60-70 stopni Celsjusza. Uzyskana w ten sposób temperatura jest wystarczająca do tego, aby oparzyć ścianki żyły płucnej i skoagulować - jak oni to nazywają - jej tkankę, czyli po prostu utworzyć blizny, które mają zatrzymać zaburzone przewodnictwo elektryczne powodujące arytmie.

Blizny.

Jego blizna pękała, gdy zobaczyłam go pierwszy raz. Dwa lata temu.

Wyszłam z akademika około czwartej nad ranem. Ktoś wrócił akurat z Amsterdamu i przywiózł „rośliny”. Albo wypiłam zbyt dużo wina i inhalowałam zbyt głęboko, albo ten cannabis był nasączony jakąś twardą syntetyczną chemią. Miałam katastroficzny „trip”. Głucha ciemna bezgraniczna przestrzeń przecięta w poprzek białą szeroką strugą parującego mleka wpływającego do moich ust. Gdy zaczęłam się krztusić nie nadążając je połykać wybiegłam tak jak stałam z pokoju. Przez laszek otaczający akademik, potykając się o zaspy zmarzniętego śniegu, dotarłam do ulicy. Gdy nadjechał tramwaj po prostu wsiadłam.

Siedział z zamkniętymi oczami w pierwszym porannym niedzielnym tramwaju. Lewą stronę twarzy oparł o zaszkrobianą brudną szybę zostawiając na niej zaparowany nieregularny ślad po swoim ciepłym oddechu. Rękami obejmował futerał skrzypiec. Tak jak gdyby trzymał dziecko w ramionach. Na prawym policzku miał szeroką bliznę. Tramwaj ruszył. Stałam naprzeciwko niego i wpatrywałam się w tą bliznę. Widziałam jak powoli pęka, rozsuwa się niczym czyjeś nienaturalnie wąskie sine wargi i wypełnia powoli krwią. Wyjęłam chusteczkę z kieszeni spodni, uklękłam przed nim i przycisnęłam do tej blizny, aby zatrzymać wypływ krwi. Otworzył oczy. Dotknął mojej dłoni przyciśniętej do jego policzka. Przez chwilę nie puszczał jej gładząc delikatnie moje palce.

- Przepraszam...

- Zasnąłem. Proszę, niech pani usiądzie.

Wstał i ustąpił mi miejsca. W pustym tramwaju.

Tramwaj pędził jak oszalały. Nie mogłam podnieść się z kolan. Zauważył to. Wsunął ostrożnie skrzypce pod siedzenie, przy którym klęczałam po czym obejmując w pasie posadził mnie ostrożnie na tramwajowej ławce. Zdjął swoją czarną skórzaną kurtkę i okrył mnie nią.

- Dokąd pani jedzie? – zapytał cicho

- Do domu – odpowiedziałam próbując przekrzyczeć pisk kół hamującego tramwaju.

- Masz bliznę na policzku – uśmiechnęłam się – ale już nie krwawi...

Wysiedliśmy na następnym przystanku. Zatrzymał taksówkę. Odprowadził mnie pod drzwi mojej stacji. Następnego dnia pojechałam oddać mu kurtkę. Wpuściła mnie do mieszkania jego macocha. Nie zauważył mnie, gdy wsunęłam się cicho do jego pokoju. Stał pod oknem odwrócony plecami do drzwi, w których stanęłam. Grał na skrzypcach. Szaleńczo. Całym sobą. Słuchałam nie mogąc oderwać wzroku od jego prawej ręki prowadzącej smyczek. Nie potrafię dzisiaj nazwać tego co czułam w tamtym momencie. Oczarowanie? Bliskość? Intymność? Muzykę? Wiem tylko, że tuliłam z całych sił do siebie jego kurtkę i wpatrywałam się w jego prawą rękę.

Skończył grać. Odwrócił się. Wcale nie zdziwił się, że jestem w jego pokoju. Jak gdyby wiedział, że tam stoję. Podszedł do mnie tak blisko, że dostrzegłam kropelki potu na jego twarzy. Był jak w jakimś transie. Płakał.

- Tylko moja matka dotykała tak mojej blizny jak pani tam w tramwaju – powiedział patrząc mi w oczy.

Dwa tygodnie później przestał mówić do mnie „per pani”. Miesiąc później nie mogłam przypomnieć swojego życia przed nim”. Po pół roku byłam jak obłąkana, gdy wyjeżdżał ze swoją orkiestrą i przez kilka godzin nie odbierał komórki.

28 czerwca, w sobotę rozebrał mnie po raz pierwszy. I patrzył na mnie. Przeglądałam się w jego oczach. Jak księżniczka w zwierciadle. Wtedy jeszcze było mi zupełnie obojętne, że on widział mnie poprzecinaną pięciolinia...

Nie miałam orgazmu tamtej nocy. Ale i tak doskonale wiedziałam jak się to czuje mieć go z nim. Pamiętałam to tak jak pamięta się swój pierwszy wielki wstyd z dzieciństwa...

*O północy 30 kwietnia stał zdyszany pod drzwiami mojej stacji. Zaczynał się dzień moich urodzin. Nawet nie zapytał czy chcę z nim jechać. Taksówką czekała na dole. Kazał kierowcy zatrzymać się przed małym kościołem na Mokotowie. Miał ze sobą skrzypce.*

*Weszliśmy boczną nawą do zupełnie ciemnego kościoła. Bałam się, gdy zostawił mnie samą w ławce naprzeciw ołtarza. Zapalił świece stojące na marmurowym blacie. Nuty oparł o jeden ze świeczników. Wyciągnął skrzypce i stanął po krzyżem. Zaczął grać. To było coś więcej niż dotyk. O wiele bardziej przenikające. Czułam fizyczne podniecenie. Z każdym taktem bardziej wyraźne. Gdy zamykałam oczy dotykał mnie zamkniętej za nagością, słowami, światłem. Wilgotniałam. W ciemnej sali zimnego opustoszałego kościoła. Zanim skończył stało się to trzy razy.*

Podczas zabiegu ablacji żyły płucnej igła przebywa w sercu kilka godzin i jej ruch w naczyniach krwionośnych, jak i w sercu, obserwowany jest na monitorze rentgenowskim. Aby uniknąć powikłań zakrzepowo-zatorowych już na kilka dni przed zabiegiem podaje się pacjentowi środki zmniejszające krzepliwość krwi. Przy ukierunkowanej na żyłę płucną ablacji rzadko poszukuje się w sercu innych ośrodków arytmii i koaguluje przeważnie jedynie tkankę żyły płucnej. Podczas zabiegu pacjent znajduje się w pozycji leżącej i jest cały czas przytomny. Ponieważ możliwe jest wystąpienia przejściowego bloku przedsionkowo-komorowego przez cały czas trwania zabiegu zabezpiecza się stymulację serca czasową elektrodą endokawitarną. Ewentualne zaburzenia oddechu reguluje się na bieżąco aparatem tlenowym.

Często, gdy leżeliśmy przytuleni do siebie kładłam głowę na jego piersiach. Gładził delikatnie moje włosy, a ja słuchałam jego bijącego serca. Nigdy nie wysłuchałam żadnej arytmii. Gdy zasypiał patrzyłam godzinami na niego jak oddychał miękko i spokojnie. Czasami na moment jego oddech przyspieszał i wargi rozchylały się lekko. I wtedy chciałam być w jego głowie. Wtedy najbardziej...

Ablacja jest zabiegiem leczniczym o bardzo wysokiej skuteczności lecz mogą po niej ponownie wystąpić zaburzenia rytmu. Jeżeli leczenie farmakologiczne zaburzeń rytmu jest nieefektywne zabieg ablacji może być powtórzony. Wyłączona jest z tego jednakże ablacja żyły płucnej

Miał chore serce. Ukrywał to przed światem. Ukrył to przede mną. Wstydził się tego tak samo, jak dojrzewający chłopcy wstydzą się swojej mutacji lub tego, że mają pryszczki na twarzy. Dowiedziałam się, że jest chory przypadkiem. Wyjechał na kilka dni z orkiestrą do Hanoweru. Tuż przed Wigilią. Naszą pierwszą wspólną Wigilią. Jego ojciec z macochą i jego przyrodnią siostrą spędzali święta w Szwajcarii.

Kupiłam choinkę. Mieliśmy spędzić we dwoje Wigilię u niego w mieszkaniu i następnego dnia pojechać do moich rodziców do Torunia. Sprzątałam jego pokój. Zebrałam leżące na podłodze zapisane jego ręką partytury i chciałam schować je do szuflady jego biurka. Szuflada była wypchana różowymi wydrukami elektrokardiogramów. Miał w tej szufladzie ponad 360 elektrokardiogramów!

Wystawionych przez szpitale z większości miast w Polsce. Ale także z Niemiec, Włoch, Czech, Francji, Hiszpanii i USA. Oprócz tego były tam wypisy z kilkunastu szpitali, rachunki za leczenie w kilku językach, dwa stetoskopy, niewykorzystane recepty, skierowania do klinik, diagnozy psychoterapeutów i psychiatrów, kopie oświadczeń o jego zgodzie na zabiegi elektrycznego wyrównywania rytmu, igły do akupunktury, napoczęte opakowania z tabletkami, wydruki stron internetowych dotyczących arytmii i tachykardii.

Od 12 lat miał zdiagnozowaną napadową *Arrythmia Absoluta*. Tylko w czasie, gdy ja go znałam miał wykonywanych w pełnej narkozie osiem zabiegów kardiowersji czyli wyrównywania rytmu serca szokiem prądu elektrycznego. Ostatnią kardiowersję robiono mu w Heidelbergu. Na dwa tygodnie zanim odkryłam tę wypchaną wydrukami EKG szufladę. Jego orkiestra brała tam udział w jakimś festiwalu. Przez dwanaście godzin nie odzywał się ani ja nie mogłam dodzwonić się do niego. Powiedział mi, że zostawił komórkę w hotelu. Prawda była zupełnie inna. W salach intensywnej terapii nie zezwala się pacjentom używać telefonów komórkowych ponieważ zakłócają pracę aparatury. Z daty i godziny naniesionych na elektrokardiogramy wykonane przed i po jego ostatniej kardiowersji wynikało, że ataku arytmii musiał dostać w czasie koncertu.

W pierwszej chwili chciałam zadzwonić do niego i zapytać. Wykrzyzczyć swój paniczny strach. Czułam się przeraźliwie oszukana i zdradzona. On wiedział o mnie więcej niż mój ojciec, który zmieniał mi pieluchy, a tymczasem zasrani lekarze w całej Europie wiedzieli o nim więcej niż ja! Harcerz jeden! Znam smak jego spermy, a nie wiem nic o tym, że przepuszczają mu prąd przez serce przeciętnie raz na sześć tygodni!

Milczałby. Krzyczałabym w słuchawkę, a on milczałby w tym czasie. Dopiero gdy zaczęłabym płakać powiedziałby:

- Kochanie... To nie tak. Nie chciałem cię martwić. To przejdzie... Zobaczysz.

Nie chciałam, aby wydawało mu się, że uspokoił mnie tym swoim „to przejdzie”. Dlatego nie zadzwoniłam. Postanowiłam, że zapytam go dopiero wtedy, gdy będę mogła położyć przed nim tę stertę 360 elektrokardiogramów. I obiecałam sobie, że nie będę przy tym płakać.

Po kolacji rozstawił w całym pokoju zapalone świece, przebrał się w swój koncertowy frak i grał dla mnie na skrzypcach kolędy. Tylko we wspomnieniach Wigilii z dzieciństwa czułam się taka bezpieczna i taka szczęśliwa jak z nim tamtego wieczoru.

W nocy wstał z łóżka i poszedł do kuchni. Ze szklanką wody w dłoni podszedł do biurka i wysunął szufladę. Nie spałam. Zapaliłam światło dokładnie w tym momencie, gdy połykał tabletkę.

- Opowiesz mi o swoim sercu ? – zapytałam dotykając jego blizny na twarzy

Pięć miesięcy później ten skurwiel kardiolog z ulizanymi żelem włosami i tytułem profesora, który mu to robił zabił go po drodze katedy z prawego przedsionka do lewego przebijając mu serce i powodując krwotok do jamy osierdziowej. Zabił mi go i wyjechał jak gdyby nigdy nic na urlop. Do Grecji . W dwa dni po zabiegu. Zakończył jedną igłą dwa życia i spokojnie poleciał się opalać.

**© Janusz Leon Wiśniewski, Teneryfa & Frankfurt am Main, sierpień 2003**